

Matka

Jaką ona tam robi karierę, żadną – mówi mama mojej koleżanki. Mama mojej koleżanki dołożyła się do jej kredytu. Ale co z tego masz? Co ona ci daje, poza tym, że dała ci pieniądze? – nie powinno się zadawać takich pytań jak ja w towarzystwie, ponieważ w ten właśnie sposób nie zdobywa się przyjaciół, nie polecam, nie rób tego, zapamiętaj, nie dam rady. Moja matka nigdy nie da mi pieniędzy na kredyt na mieszkanie. Przede wszystkim dlatego, że ich nie ma, a nawet gdyby miała, to prędzej wpłacałaby na papieża niż na dzieci, chyba że na „dzieci” nienarodzone, na te chętnie, chociaż najlepiej jednak po prostu na papieża – i dobrze, niech robi ze swoimi pieniędzmi co chce, dzięki temu nie trzeba udawać, że jesteśmy rodziną, a to jest duży komfort dla niej i dla mnie (ps nie chodzi o pieniądze). Matka, która dokłada się do kredytu, to jest bardzo dużo. Ale jest to także bardzo mało, a na pewno o wiele mniej, niż ja chciałabym mieć: a chcę bezgranicznego wsparcia, wsparcia poza granicą portmonetki, ze skóry, wsparcie i podziw – to jedyne rzeczy, których naprawdę chcę, ale nie dostanę ich, bo mojej rodziny na to nie stać – to nic złego, po prostu je-

steśmy biedni i to nie jest moja wina. Chcę też na to witaminy, żeby uzupełnić niedobory. Tabletki od lekarza – ile jeszcze trzeba będzie czekać na receptę na te pastylki na te braki? Czy jednak to nieprawda i nie jesteśmy rozwiniętym, wyrosniętym, zdatnym do życia krajem? Jestem taka zmęczona. Może to anemia, która polega na tym, że nie jest się z żelaza, tylko jest się pisklakiem, który krzyczy, bo boi się wody? To możliwe, ale wiem, że tak nie jest. Mamo. Gdzie jest moje bezgraniczne wsparcie dla mojego życia i tego, jak ono wygląda? Dawaj mi to (to nieuprzejme dawaj, a nie recepta na przyszłość, bo to jest żądanie). Mogę tak mówić, bo nic mi się nie stanie.

Jesteś

Szkoła jogi w centrum Warszawy. Zastępstwo. Nie przyszedłabym na te zajęcia, gdybym wiedziała, że to będzie zastępstwo – nie lubię niespodzianek, nie mam siły na nowe rzeczy, szczególnie kiedy jestem w ponurym nastroju, a to oznacza: prawie zawsze. Być może przychodzę na jogę tylko po to, żeby zawsze było tak samo i żeby instruktorka zawsze tym samym tonem głosu odliczała w pozycjach oddechy od jednego do pięciu, być może tak właśnie jest, ale lepiej nie będę przyznawać się do tego wprost. Nieważne. Mogę jeszcze zająć miejsce w ostatnim rzędzie w rogu sali obok umierającego kwiatka – codziennie obserwuję, jak umiera coraz bardziej, mocno to współgra z moim stanem ducha – i przez 75 minut we wszystkich pozycjach mogę wyglądać przez okno na ulicę Marszałkowską. Wolę patrzeć w okno zamiast na tę nową twarz, bo nowe twarze zawsze mnie krępują, wolę widzieć je z daleka i z za czyichś pleców, a już na pewno nie chcę, żeby ktoś patrzył prosto na mnie, bo nie ma nic bardziej krępującego niż to. Nowa instruktorka mówi: „uśmiechnij się do siebie” – ale nie będę się uśmiechać, nie ma takiej opcji, bo przyszłam tutaj tylko po to, żeby cwi-

czyć, robić, a te dodatkowe rzeczy skierowane na mnie? Bez przesady. Ale to nie jest jeszcze najgorsze. Nowa instruktorka co chwilę mówi: „jesteś”. HEJ, O CO JEJ CHODZI?? Chore. Nie chcę być niemiła. Ale czy to jest nadal joga? No więc strasznie mnie to złości. Nie chcę, żeby ona mówiła do nas takie rzeczy, to już przesada, obraża mnie, masakra i jeszcze ten ton głosu, taki oznajmujący, jakbyśmy naprawdę byli i jakby ona rzeczywiście wiedziała co mówi – jeszcze większa masakra. Od razu wypadam z rytmu i gubi mi się oddech, a poza tym przyspiesza, bo czekam już tylko na to, aż się skończy i aż będę mogła powiedzieć o tym komuś coś szyderczo, komuś kto to potwierdzi i odpowie coś w rodzaju: „tak, boże, to było okropne, przesadziła!”. Ale właściwie nie ma na to miejsca. Później dowiaduję się, że moja koleżanka z jogi popłakała się z wrażenia za pierwszym razem, kiedy usłyszała głupie „jesteś”. Ogólnie wszystkim się to spodobało. Dziwna sprawa. Poczulałam się dosyć nieswojo: a więc czy tylko ja mam problem z tym, że ktoś mi przypomina, że tu jestem? Czy tylko ja nie lubię być i wolałabym uniknąć tego stanu rzeczy? Być może tak, ale pewnie lepiej nie mówić tego wprost, być może ludziom w ogóle należy podawać tylko te słowa o byciu i o uśmiechu,

a żadnych słów na odwrót, bo tych się gorzej słucha? Mam kłopot z wybieraniem słów. Największy, jeśli mają to być słowa krótkie. Krótkie słowa są za duże – lub za ciężkie. A dla ludzi smutnych – być może takich jak ja, ale tylko być może – jakie słowa są dobre, jeśli od bycia w czymś (a najbardziej od bycia ze sobą w swoim ciele) dużo bardziej atrakcyjnie brzmi rozmycie i znikanie?

Autyzm

Osoba z autyzmem czy osoba autystyczna – kim wolisz być? Podaj właściwą odpowiedź. Zapisz i myśl – ale to nie na ocenę! Czy warto robić coś nie na ocenę? Jest gorąco i chcę jeść lody, ale na nic nie umiem się zdecydować i smakuje tylko te momenty, kiedy w końcu coś mogę coś wybrać, to jest chyba ze wszystkiego najbardziej apetyczne. Czy po „Empuzjonie” ‘apetyczność’ będzie nowym słowem na topie i czy stanie się bardziej popularna niż ‘czułość’ po noblu? Czy te słowa już na zawsze będą mieć metkę z inicjałem chyba jedynej znanej w polsce żyjącej autorki oraz czy można ich jeszcze używać za darmo? Chciałabym wiedzieć, jakie słowa są tylko moje i mieć ich jak najwięcej – gdybym wiedziała, jakie słowa do mnie należą, trzymałabym je w zamrażalniku, żeby nie stała im się żadna krzywda. Czy ‘atypowość’ jest lepsza niż autyzm i czy jest lepsza tylko dlatego, że ma na Netfliksie swój własny serial, a nawet ma kategorię, w przeciwieństwie do autyzmu, który niezbyt wiele osiągnął w popkulturze i jak na razie faktycznie brzmi bardziej jak nazwa dziwnej choroby, chociaż nią nie jest. Ile razy należy powiedzieć, że autyzm to nie choroba, jak dużo trzeba, żeby zostało to

powiedziane raz na zawsze i żeby nigdy więcej nie trzeba było już o tym mówić? Wiem, że w tej chwili trzeba – często jestem zmęczona, a właściwie to prawie zawsze. Hej, czy neurotypowość nie jest zbyt modna? Dlaczego ludzie ostentacyjnie epatują nią na każdym kroku? Czy linie graniczne, które zasadzają się na jednej literce (a-ty-powy), mają w sobie jakąkolwiek wiarygodność? Oraz jeszcze jedno: mieć* czy być? (*autyzm). Myślę, że to najlepsza diagnoza – diagnoza tego, czy myślisz, że to coś złego, że to jest o tobie (lub nie jest).

Czuję, że nie dam rady

Ten, kto wymyślił podział na łatwe i na trudne mylił się tak bardzo – dla mnie to on jest przegrywem, zawdzięczam mu cierpienie, niech spierdala, nie pozdrawiam go z tego miejsca. Łatwe albo trudne – wybierz swoje ulubione, tylko wybierz z głową. Do wyboru są zadania w wersji podstawowej i zadania z gwiazdką, gdzie gwiazdka oznacza zadania dla bystrzaków albo inaczej kangurów matematycznych – ktoś nie przewidział, że jesteśmy jednak tylko ludźmi, przykre. Nie jestem chętna, bo czuję, że nie dam rady. Łatwe to nowe trudne. Tak właśnie czuję, i co się z tym robi? Kangur matematyczny jest dziwnym gatunkiem. Niestety zagrożony jest wyginięciem. To nic nowego, bo to tak samo, jak niemal wszystkie gatunki, jakie poznałam. Odkąd się o nich uczę, powoli oswajam się z wymieraniem. Homo hetero sapiens nie wstanie dziś z łóżka, nie zje pełnowartościowego posiłku i nie pójdzie do szkoły. Czuję, że nie dam rady, więc czy ktoś mógłby dać radę za mnie, proszę, dziękuję, magiczne dawanie rady. Jestem chętna na nic, gdzie nic naprawdę oznacza pustkę, leżenie, białą pościel, białe firanki, białe ściany, rozkładane łóżko. To nic nadzwyczajnego, każ-

dy mógłby mieć takie samo łóżko do spania jak ja i to właśnie łóżko całkowicie mnie zadowala, jest bezpieczne, nie potrzebuję nic specjalnego, żadnych nadzwyczajnych warunków, tylko czystą pościel, może być pomięta, ale niech będzie czysta. Kiedy się budzę, dzień jest niebieski, czerwony, zielony. Nie są to moje ulubione kolory. Czekam na róż, czekam i nic, więc wolno mi czekać na leżąc, to nie jest dobry moment. Wszystko jest takie samo, tylko moje mrugnięcia robią coś w tym pomieszczeniu, ale to nie ja, to one, a może to upływ czasu. Dziwna ta lampa, jakaś przegięta. Po co ona tak się wychyla. Dobrze, że to nie ja i te chusteczki do smarkania nosa kupione, wyeksponowane takie, wybudowałam im pomnik – to jest moja inwestycja i dowód, że kiedyś coś tam jeszcze chciało mi się, powiedzmy, ogarnąć. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi zachce się smarkać. Chociaż trochę wiadomo. Jak zacznie myśleć, to może mu się zachcieć, ale, nie używajmy wielkich słów. To gorsze niż myślenie. Jestem na nie. Nie chce mi się i mam mało rzeczy – to dobrze, mniej sprzątania, jak to się mówi, a ponadto odpada kilka uciążliwych obowiązków. Nie ma na co patrzeć. Niepotrzebne te szuflady, a nawet pokój, tyle z nim zachodu, żeby tu płacić i mieszkać, a po-

kój, nawet drogi, i tak nie zastąpi wszechświata, wielka szkoda. Nie jestem tu na zawsze nigdy, trzeba wstać, robić rzeczy, tylko jakie, nie wiem, jeśli jest wszystkiego za dużo, za trudne, za ciężkie, wybieram plusz i miękkość, chociaż nikt nie pyta i wiem, że to zła odpowiedź, nie ma takiej odpowiedzi.

Dużą uwagę przywiązuję do małych szczegółów

Na przykład: kraterzy. Kraterzy są wszędzie, są pod samym nosem, to nie przesada. Zdawałoby się, że niby tylko na księżycu i nie zauważę, bo to za daleko, wiadomo, jak jest, a tu nie. Brzmi naiwnie. A jednak wystarczyło dotknąć, a nawet bez dotyku, tylko zbliżyć się i patrzeć wystarczająco długo. Proponuję minutę i pięćdziesiąt siedem sekund, bo z mojego doświadczenia wynika, że tyle wystarczy, chociaż to być może zależy od kompetencji. W razie potrzeby procedurę można powtórzyć, bo jest darmowa, wymaga tylko drobnej opłaty regulującej koszt zużycia pewnej ilości prądu, ale grupowa uważność wychodzi naprawdę tanio, więc polecam szczególnie rozważne połączenie się w kolektywy. Dziobate wybrzuszenia. Jakie to dziwne, a jednocześnie wcale. A co, jeśli żyją tam obcy, obcy to zawsze jakiś rodzaj „innych” – mogłoby to oznaczać outsiderów wygnanych z jednolitych powierzchni. Tylko czy płaskie powierzchnie istnieją, czy zawsze rozbija je jakiś szczegół, szczegół, który odbiera pracę konserwatorom powierzchni płaskich, przynajmniej z nazwy, ja jestem więc konserwerem zamiast konserwatorem, jestem profesora katedry kraterów. Ulubiony kształt? Koło.

Zapisałabym to w złotych myślach, gdyby tylko było takie pytanie, ale nie, zawsze tylko banały, ulubione piosenkarki, znaki zodiaku, kolory oczu, chociaż kto da radę wszystko to zapamiętać i czy warto w ogóle to zapisywać, jeśli nikt tego nie zapamięta, a koniec końców liczy się tylko jedna linijka tekstu z nazwiskiem chłopca, który jest twoją sympatią? Nikt już tak nie mówi, nikt nie zapisuje już takich rzeczy, być może nikt już nie ma analogowego zeszytu, wszyscy tylko tablety, a nadal liczy się tylko miłość, bez wchodzenia w szczegóły – masz czy nie masz? Jedną, czy więcej? Proszę podać nazwisko i oddalić się w milczeniu załączając sekret. Takie to powierzchowne, że aż miałoby się ochotę zapytać: po co, co jeśli nie lubię ogólników, co jeśli nie lubię niczego, co wy lubicie, a co jeśli to dla mnie za mało, zbyt ogólne, nie chcę się spieszyć, nie chcę tej powierzchowności. Chcę rozdrapać ściany i mówić im: sprawdzam, bo ja tylko sprawdzam, co tam naprawdę jest w środku, czy kogoś to interesuje czy nie. Może zbyt dużo myślę i nadaję temu wartość, której nie ma, ale naprawdę głównie mnie to obchodzi, jeśli wszystko jest takie drogie, to lepiej chyba dokładnie coś zważyć, zanim dojdzie do uiszczenia opłaty eksploatacyjnej za bycie razem, niby darmowe, ale

kto wie, gdy podobno wszystko wymaga wysiłku, a ja tak łatwo się męczę, więc nie mogę pozwolić sobie na marnotrawienie kalorii. Jadę na energetykach, coś we mnie chrzęści, wyostrzają się cienie. Ściany zaczynają wyglądać jak chleb. Im dłużej oglądam, tym bardziej są nieprawdziwe.

Zmiany, zmiany, zmiany

Zmieniłabym prześcieradło, ale mi się nie chce. Tylko ja tutaj śpię. Zbieram się do zmian. Ale te światła, opadają mi na głowę węże, a to męczy, nie powiem. Wszystko trzeba by zdjąć. Nie ma jednej zmiany, trzeba się narobić, a jak się zacznie, to nigdy nie kończy się to na jednym i stąd wyrasta pojęcie wymęczonej łyżeczki. Każdy obowiązek zawiera kilka ruchów łyżeczką. Dlatego lepiej nie mieć żadnych obowiązków. Dla przykładu: mycie zębów, od startu do mety, zawiera zebranie się w sobie, zapalnie włącznikiem światła w łazience, niby nic, a jednak coś, ponadto otwieranie i zamykanie drzwi, sięganie po przybory, odkręcanie nakrętek, wyciskanie z tubki resztek, o ile są, dwie minuty określonych ruchów w każdym zakątku szczęki, liczenie czasu, oszukiwanie samego siebie, że to już, na pewno już dawno oraz puszczenie wody, płukanie, odkładanie wszystkiego na wyznaczone miejsce, wymycie pasty z kącików ust, wycieranie ręcznikiem twarzy, patrzenie w lustrze na swoją twarz, cały ten koszmar patrzenia na twarz, dawno już niewidzianą, bo chyba od rana. i dopiero kiedy przebrnę bez szwanku przez wszystkie etapy te etapy, jest czas na ten niby zasłużony odpo-

czynek w łóżku, znowu. Oczywiście o ile uda mi się przebrnąć przez to zasrane mycie zębów bez uszczerbków na doskonałości fragmentarycznej procedury, na przykład bez wybuchu niekontrolowanego płaczu albo wjebania wszystkich przyborów jednym zamaszystym ruchem z półki do wanny. Przypomnijmy: każdy ruch to jedna łyżeczka, a każda łyżeczka to za dużo, jeśli nie ma się apetytu na życie tak samo jak ja nie mam, nie moje smaki. Kto ma zresztą apetyt? Chyba tylko jakieś zmyślane postaci z serialu dla amerykańskich super rodzin, zmyślanego po to, żeby dołować normalne osoby, normalne takie jak ja, którym się nie chce, po prostu się nie chce. Czy to jest smutne? Nie, to są fakty. Fakty walają się tu na podłodze. A wszystkie te koce, poduszki – mają sprawić, że będzie miło, a nie jest, bo jest tylko więcej rzeczy, to tyle. Wygląda to obiecująco chyba tylko w katalogu Ikea albo na ekspozycji towaru w Jysku, do którego zresztą i tak nie można już chodzić po towar, bo wiadomo co jest. Więc żyję sam na sam, bez pośpiechu, a dla apetytu z pikowaną poduszką w odcieniu pudrowy róż i z zasłoną w odcieniu butelkowa zieleń, same hity, przy czym nie czuję się coży, o, nie, o jaka szkoda. Złożyłabym reklamację, ale nie jestem konfliktowa. Początkowo wydawało mi się,

że to wyjdzie tanio – kupię lampki, coś zapłacę, ale też zyskam, a okazuje się, że no nie za bardzo. Cały czas tylko sprzątanie, przewrócone doniczki i ramki na zdjęcia, które przewraca moje wewnętrzne zwierzę, bo buszuje w moim pokoju, ale kto to właściwie jest, nie znam. Niech ktoś je potrzyma, bo cierpną mi ręce.

A co gdyby dać się temu nie kleić

Albo gdyby jednak spróbować. Można by kleić na super glue. To lubię, można naprawdę zbliżyć się do własnego ciała, jeśli to kogoś interesuje, a kto by nie chciał? Dwa osobne palce mojej lewej dłoni, prawie nieużywane, od tej pory już nigdy nie będą samotne. Może też wreszcie skończy się ten dylemat, czy moja twarz jest symetryczna czy nie jest i czy jedna strona mojej twarzy pasuje do drugiej strony oraz czy one w ogóle chcą być razem – co gdyby jednak je skleić. Gdyby tak przycisnąć jedną połowę do drugiej, no czemu by nie? Więc piję szota, w którym jest super glue, to jest szot zamiast espresso, bo nie lubię kawy, za to poważam eksperymenty, byle nie na zwierzętach, bo tylko te na ludzkich ciałach uznaję za moralnie właściwe z punktu widzenia przydatności dla ludzkiego życia. Nie jest łatwo. Klej wykapuje z ucha na kartkę, no coś w nim jest. Czarno to widzę i żółto. Dziwne to ciało, nawet z naukowego punktu widzenia, gdy chciałoby się uprościć, zaprowadzić tu jakiś porządek, poddać syntezie. Przyznam się do jednej rzeczy: noszę w torebce małe lusterko. Kiedy nikt mnie nie widzi, wyjmuję lusterko z torebki, otwieram tę część, która ochrania szkiełko

przed zarysowaniem, a potem przykładam sobie lusterko do nosa i mówię mojemu ciału: wska-
kuj! No, dalej, możesz tam wejść, nie wstydz się,
pójdę za tobą. Na razie nic się nie dzieje, ale re-
gularnie ćwiczę i czekam na efekt, jaki by nie
był, sądzę, że warto. Kiedy oglądam moją twarz
z bliska, wydaje mi się obca. Tyle tu otworów,
wgnębień i komplikacji. Jak się tego nauczyć, nie
znam tego wzoru, wszystko jest bezużyteczne,
nauka też, zupełnie bezradna. Poza lusterkiem
mam mapę od moich przodków. Bo to chyba byli
moi przodkowie, którzy chyba też byli ludźmi
i też zdarzało im się skorzystać czasem z narzę-
dzia, jakim jest papier. No więc znalazłam mapę,
ale wszystko to na nic, bo nie znam jej języka.
Kiedy mój własny język chwilowo jest bezuży-
teczny, daję mu komendę ‘spocznij’ i odsyłam go
na miejsce, a miejsce mojego języka, jego praw-
dziwy dom, to niewielkie, jasnoczerwone wzgó-
rze znajdujące się na podniebieniu tuż za górny-
mi zębami – stąd jestem. Jak to się mówi, moja
mała ojczyzna. Fuj, ojczyzna, ale to wypluj. Tyl-
ko mówię ci, nie zasypiaj z gumą w ustach, bo
skleją ci się kiszki, rozkleisz się i udławisz mię-
skiem. Tylko grzecznie tam z tyłu panowie. Też
tu coś chrzęści. Może jest to dźwięk obojczyka –
prawy – albo litera A.